Zeszyt 14. Rok I.



Lwów 2. Maja 1886. **Tygodnik belletrystyczny.** Wychodzi co niedzielę.

Przedpłata wynosi: we Lwowie rocznie złr. 7·40 — półrocznie złr. 3·70 — kwartalnie złr. 1·85. — Z przesyłką pocztową rocznie 8 złr. — półrocznie 4 złr. — kwartalnie 2 złr. — Za granicą rocznie 16 marek.

Adres redakcji i administracji: *Lwów, ulica Jagiellońska l. 16.* (Kantor „Drukarni Polskiej").

Redaktor i wydawca STANISŁAW MANIECKI.

CYWILIZATOR

POWIEŚĆ

Wincentego Juliusza Wdowiszewskiego.

(C. d.) Czoło Bodmera pokryło się fałdami, usta zacisnęły, ręka mechanicznie dzwoniła po szybie okiennej. Myślał.

Myśl jego, oko, ustawicznie biegły ku Bzowu, zkąd od dni kilku nadaremnie wyczekiwał odpowiedzi mającej rozstrzygnąć o jego świeżych projektach. O upór Bzowskiego rozbijały się zamysły, po których spodziewał się rezultatu świetnego; o zasady szlachcica rozbijał się projekt kolei, która miała umożliwić i ułatwić wywóz jego produktów. Dumny szlachcic milczeniem odpowiadał na jego grzeczne propozycje.

Palce Bodmera mocniej zabębniły po szybie, oko błysnęło gniewnie w stronę Bzowa.

Była wprawdzie jeszcze jedna droga do przełamania uporu, ale to droga daleka i kosztowna. Mógł podać o koncesją na kolej; stworzyć zamiast prywatnej, publiczna drogę komunikacyjną — ale ileż to zachodu, ile trudności. Rzecz taka tylko wtedy opłacić by się mogła, gdyby razem z nim stanęło kilka firm przemysłowych, a to było niemożebne, był sam — sam jeden — wśród zacofanych rolników... Gdyby miał drugi zakład większy, gdzieś po drodze między Leśną a Ząbkowcami rzecz byłaby o wiele łatwiejszą; rząd pewnieby przyszedł z pomocą jednemu z największych przemysłowców w kraju. Wspieranie człowieka, który z zakładów swoich dawał skarbowi państwa takie znaczne korzyści, leżeć musiało w interesie władzy. Wtedy wywłaszczenie gruntów pod kolej mogłoby nastąpić z wolą czy bez woli Bzowskiego.

— Ha! — szepnął ledwie dosłyszalnie, odchodząc od okna.— Chce walki, będzie ją miał...— Przystąpiwszy do biurka zadzwonił.

Pojawił się służący.

— Prosić do mnie pana administratora — rozkazał Bodmer. Służący zniknął. Bodmer zapalił cygaro i pilnie studjować zaczął jedną z map na ścianie wiszących. Tak się w to zagłębił, że niespostrzegł, jak do pracowni wszedł zawezwany administrator z teką w ręce. Dopiero gdy ten wyczekawszy chwilę, zdobył się na głośne: Moje uszanowanie panu! — Bodmer odwrócił się od mapy, podszedł do biura i podał administratorowi rękę.

— Dzień dobry! — przemówił wskazując fotel. — Siadaj pan i zapal cygaro. — Jest co nowego? — zapytał po chwili, gdy administrator usiadł.

— Z ważniejszych spraw nie wiele. Zarządca folwarku w Grzmotach przysłał raport o zbiorach i omłocie. Rezultaty tegoroczne nadzwyczaj pomyślne i zestawienie wykazuje, że folwark nietylko opłaci administracją, ale da znaczną nadwyżkę dochodu. Pierwszy raz od czasu nabycia.

— Wcale pocieszające — rzekł Bodmer przeglądając podany sobie wykaz. — Proszę zanotować dla zarządcy 10% tantiemy od dochodu brutto. Wypada zachęcić młodego człowieka, który niedawno przyjęty, dał już dowody swojej pilności i znajomości rzeczy. Przy sposobności podziękuję mu osobiście. Wykaz zostanie tymczasowo u mnie.

— Leśniczy oznajmia, że tegoroczny zrąb niewystarczy na pokrycie potrzeb zakładowych, gdyż drzewostan jest w nim rzadki i cienki. Czy pan każe nadpocząć przyszłoroczny zrąb, czy też gdzieindziej poszukać materjału?

— Jakiegoż zdania leśniczy?

— Sądzi, że lepiej kupić u postronnych, jak zmieniać plan gospodarstwa lasowego. Mogą z tego w przyszłości wyniknąć trudności, a porządek zakultuowania wyciętych przestrzeni będzie zniesiony i nieprawidłowy.

— Ma słuszność. Zatem kupić. Masz pan jakie projekta co do tego?

— Właściciel Zręcin pan Rozmyski, sam się zgłaszał niedawno. Jest gotów odprzedać nam kilka włók lasu.

— Po cenie? — zapytał Bodmer.

Administrator uśmiechnął się.

— Sami możemy ją podyktować, bo oferent gwałtem potrzebuje pieniędzy, a dostać ich niemoże wskutek nadwerężonego kredytu. Naprasza się przez posłów, aż do natręctwa.

— Ofiarujesz mu pan cenę zwykle u nas praktykowaną, po obejrzeniu lasu z leśniczym. Nieżyczę sobie panie Świrski, by mnie nazywano wyzyskiwaczem. Proszę tę sprawę załatwić z panem Rozmyskim bez użycia pośredników, a kontrakt kupna mnie do zatwierdzenia przedłożyć.

— Stanie się według życzenia.

— Jaki stan zdrowia między robotnikami.

— Dosyć zadawalniający. W szpitalu mamy zaledwie 20 chorych — prywatnie leczy się 14.

— To dobrze — rzekł Bodmer. — A teraz pomówię z panem o rzeczach, które mają zostać tajemnicą między nami. Wiem jak mogę liczyć na pańską dyskretność. Proszę wybadać pilnie a przezornie, bez zwracania na siebie zbytecznej uwagi, jak stoi majątkowo pan Bzowski. Dowiedzieć się czy ma jakie długi tabularne i nietabularne, a w razie potwierdzającym starać się o nabycie tych długów koniecznie za jakąbądź cenę. Kupię wszystko i dobrze zapłacę, bylem mógł być panem położenia. Tylko w ten sposób mogę dojść do celu, inaczej kolej, o której mówiłem z panem niedawno, zostanie marzeniem. Gdy Bzowskiego będę miał w rękach tak mi zatańczy jak mu zagram.

— To dumny szlachcic — zrobił uwagę administrator — i o ile mi wiadomo nie ma żadnych długów.

— Trzeba gruntownie rzecz zbadać. Nie żałuj pan trudu, będę bardzo obowiązany.

— Postaram się o pewne wiadomości. Można się na mnie spuścić.

— Wiem o tem. A im prędzej tem lepiej. Czy ma pan jeszcze co do przedłożenia.

— Jest kilka ofert włościańskich o zakupno ich gruntów.

— Czy ci ludzie nieprzestaną nas nachodzić?...

— Widząc żeśmy kilka gospodarstw nabyli i za nie hojnie sypnęli, ustawicznie wpraszają się o kupienie nowych.

— Tamte kupiliśmy bądź dla zaokrąglenia naszych posiadłości, bądź dla rozszerzenia kopalni. Dziś nie potrzebujemy ziemi. Proszę stanowczo odmówić ich żądaniom.

— Dobrze. Położy to tamę dalszym zgłoszeniom, gdyż od jakiegoś czasu nawet włościanie sąsiednich wiosek przychodzą do mnie z pytaniem, czy nie chcemy ich gruntów. Ot, niedalej jak przed dwoma dniami zgłaszał się do mnie kolonista Pellar z Rud, abym kupił jego gospodarstwo, gdyż chce się wynieść z Polski.

— Szczęśliwej drogi! — zauważył Bodmer. — Ale gdzież tu są jakie Rudy? Nieznam wsi tego nazwiska.

— Bo też to nie wieś, ale nazwa niwy w Bzowie — wyjaśnił Świrski.

— W Bzowie? Nazwa niwy? — mówił jakby do siebie Bodmer — a oczy jego zwróciły się badawczo na urzędnika. — Proszę mi powiedzieć bliższe szczegóły o tych Rudach.

— Szeroka niwa od granicy Leśnej w stronę Ząbkowiec, zowie się z dawien dawna Rudami. W środku tej niwy dworskiej, była chłopska osada kilkumorgowa, którą przed pięciu laty sprzedał chłop koloniście Pellarowi. Ten postawił tam nowy dom i budynki gospodarskie, zaczął wcale ładnie ziemię sprawiać, ale ponieważ jest Niemcem, doznaje od pana Bzowskiego ciągłych sekatur. O nieporozumienia sąsiedzkie nie trudno, gdyż realność Pellara leży jakby oaza wśród pól dworskich i bardzo często zdarza się, że bydło kolonisty zajdzie na grunta dworskie i zrobi szkodę. Ztąd ciągle spory i procesa, aż Niemcowi sprzykrzyło się to wszystko i chce się wynieść.

— Czy osada ta ciągnie się pasem, czy też jest skupioną.

— Jest skupioną. Pole tworzyć ma kwadrat.

— A dostęp?

— Od strony naszej wiedzie drożyna, od strony dworu w Bzowie szeroka droga polna wyłącznie do pana Bzowskiego należąca, dlatego Pellar, gdy chciał się ze swego domu dostać do Ząbkowiec, musiał obchodzić lub objeżdżać na Leśnę, przedłużając sobie spory kawał drogi. Inaczej byłby od świata odcięty.

— Ile żąda ten kolonista za swoją realność.

— Bardzo dużo. Ziemia na Rudach nie należy do najlepszych. Gleba w glinie rzadkiej; podglebie stanowi bezpiaskowa glinka zbita. Za tych sześć morgów żądać — choćby z budynkami — 3000 rubli, to bezczelność. Nigdy kupca nie znajdzie.

— Rudy! Rudy! — powtarzał Bodmer chodząc po pracowni i jakby nieuważał na wywody Świrskiego, zapytał go nagle.

— Czy pan wiesz jak lud nazywał niwę, gdzie obecnie leżą moje kopalnie?

— Niewiem — odpowiedział administrator.

— Nazywał ją: Węgliska. Słyszałem tę nazwę po raz pierwszy przed 16 laty, gdym jako student bawił w tych stronach. Powtórzono mi ją w czasie kupna Leśnej, gdym obchodził pola z dawnym właścicielem i ta nazwa obok bliskości Szląźka, zdecydowała żem Leśną kupił. Natychmiast rozpocząłem potem poszukiwania i widzisz pan rezultaty. Lud jest ciemny, ale ma dziwny niewytłómaczony zmysł do racjonalnego nazywania miejscowości. W Galicji wszędzie tam znajdą naftę gdzie niwa zowie się Ropiska, rzeka lub potok Ropa, wieś Ropianka lub Ropica; wszędzie tam będzie wapno, gdzie wzgórze Wapniskami nazywają, a Rudy panie — Świrski — to niezawodna skarbnica metalu. Poszlij pan natychmiast po Pellara!...

— Jest w zakładzie, gdyż podjął się dowozu drzewa do huty.

— Proszę go więc wezwać do biura dyrekcji. Ja tam zejdę. — Musimy mieć jego osadę — niech kosztuje co chce. Raz dlatego, że to „Rudy", a po drugie, że staniemy pewną nogą w Bzowie. Spiesz pan, proszę. Drugi raz nie nadarzy się taka sposobność: trzeba kuć żelazo póki gorące...

Administrator wyszedł.

Bodmer szybkim krokiem przemierzał pracownię. Oko jego tryumfująco błyszczało; zacierał ręce z zadowoleniem. Głowę jego przebiegało tysiące myśli. „Rudy" niedawały mu spokoju. Jacy ci obywatele ograniczeni — myślał — sama nazwa wskazywała im od wieków, że tam w ziemi musi być coś podobnego do rudy i nikt krompaczem nie uderzył w głębiny, aby się przekonać czy lud ma słuszność. Nabywszy Pellarówkę, podam natychmiast o pozwolenie kopalnicze. Spróbować nakazuje rozum. Zobaczymy! Zawodowych górników rzadko zawodzą przeczucia. Wtedyby moja kolej z krainy marzeń przeszła w rzeczywistość, a uderzenie krompaczy moich górników płoszyłoby sen jaśnie Bzowskiemu, który nie raczył odpisać parweniuszowi...

Gdy za chwilę służący oznajmił, że pan administrator czeka w biurze z Pellarem — Bodmer był znów zimny i spokojny; nie miał w twarzy najmniejszej oznaki zadowolenia, tylko gdy nasadził na głowę kapelusz i zapalił nowe cygaro, szepnął do siebie opuszczając pracownię:

— Gdy nie można inaczej, trzeba ludzi siłą uczyć rozumu!...

IV.

We dwa tygodnie po opisanej scenie, około dziesiątej godziny z rana, na werandzie bzowskiego dworu, przy stole nakrytym do śniadania, siedział pan domu z córką i profesorem. Marja w ranny przybrana szlafroczek spełniała rolę gosposi; pan Onufry pociągał dym z fajki tureckiej i patrzył w przestrzeń zamyślony, zaś profesor przeglądał gazety paląc cygaro. Marja rozdała herbatę. Podsuwając ojcu filiżankę przemówiła:

— O czem ojcaszek tak zamyślony?

— Alboż to moje dziecko nie mam o czem myśleć. Tysiące rzeczy na mojej głowie.

— Czemuż ojcaszek nie zda części swoich trosk na moją głowę?

— Na twoją? — spytał z zadziwieniem Bzowski. — W czemżebyś ty mogła mi ulżyć?

— Kto wie? kto wie ojcaszku! Na chęciach by mi nie zabrakło.

— I na rozumku nie, moje serce — wtrącił profesor odkładając gazetę. — Wiesz Onufry, że ja się zawsze dziwię, zkąd się bierze, że wy hreczkosieje macie takie rozwinięte dziewki. Każda prawie z obywatelskich panien, ma przeciętnie więcej sprytu i rozumu od szlacheckich synów, i gdyby sama została w życiu, dałaby sobie prędzej radę jak chłopak. Zaręczyćbym mógł, że Maryjka, gdybyś jej zostawił więcej samodzielności i przypuścił do współudziału w zarządzie majątku, zbawiłaby cię połowy kłopotów. Zarazby ci się weselej na świecie zrobiło...

— Nie wątpię mój Antosiu, ale niech już będzie jak bywało. Jeszcze ja mam dość siły do podołania kłopotom; po co młodą głowę zawczasu troskać. Niech się bawi, niech używa; będzie ona miała kiedyś swój krzyż pański.

Bzowski pociągnął haust herbaty i przegryzł sucharkiem.

— Ja uważam mój Onufry — przemówił profesor — żeś ty stracił humor od otrzymania telegramu od tego twojego Bożyckiego. Czy jakie niepomyślne wiadomości?

— Broń Boże, tylko mnie zmartwił zawód. Tak się cieszyłem jego przyjazdem, a tymczasem Karol depeszuje, że nadzwyczajnej wagi interesa wymagają jego bytności w Wiedniu i że dopiero powracając ztamtąd, do mnie na kilka dni wstąpić może.

— Pan Bożycki bawi dotąd w Wiedniu? — spytała Marja.

— Tak jest. Nic mi nie pisze kiedy powraca. Myślałem, że tam nie zabawi dłużej jak tydzień, tymczasem i drugi mija, a jego jeszcze nie ma.

— Czem się trudni ten pan Bożycki? — zapytał profesor.

— Jakto, czem się trudni? — zadziwił się Bzowski. — Niczem! Ma swoje kapitały i z nich żyje.

— Pożyteczny okaz — zauważył z przekąsem profesor.

— Ty bo mój Antoni chciałbyś z wszystkich ludzi zrobić wyrobników.

— Rozumie się że chciałbym i mam to najmocniejsze przekonanie, że dopiero wtedy byłoby dobrze. Jaką korzyść przynosi krajowi taki Bożycki? Siedzi na kapitałach i zjada je powoli, zamiast wziąć się do jakiej wytwórczej pracy. Ot! lamentujecie jak starożytne płaczki na napływ cudzoziemców, na panoszenie się żydów, na upadek fortun szlacheckich, a czy który z was weźmie się do czego pożytecznego, czy który z was zaryzykuje kapitał w jakie przedsiębiorstwo? Już jak jeden i drugi wstąpi do jakiego akcyjnego towarzystwa kolejowego, to szczyt poświęcenia. Popatrzcieno na magnatów, jak oni zaczynają się krzątać, zbierać w spółki, zakładać fabryki. Czy wam nie wstyd? Tylko wy jedni, wy szlagoni nie myślicie o jutrze. Jakoś to będzie! powtarzacie do znudzenia, a tymczasem z każdym dniem ciężary waszych hipotek zwiększają się i majątki idą pod subhastę...

— Moja hipoteka czysta...

— Czy ja przeczę? Mówiłem ogólnie. Choć wiesz co Onufry, mnie bardzo dziwi, że twój majątek czysty. Na te wydatki, na takie życie jakie ty prowadzisz, powinienbyś mieć grube długi...

— A tymczasem mój filozofie, prócz głupich parutysięcy rubli, które lada zbiór pszenicy zapłaci, nic nikomu nie winienem...

— Powinszować ci Onufry!... — Profesor zwrócił się ku Marji. — Powinszować i tobie moje serce, gdyż jesteś warta najmniej 50.000 rubli. Reprezentujesz ładny kapitał...

— A i tak nikt się dotąd po niego nie zgłosił — zaśmiała się Marja.

— Jak chcesz to ja cię zaraz wyswatam. Zabiorę cię do Warszawy i zaręczam, że do sześciu miesięcy będziesz chodziła w czepeczku. Mam ja w Warszawie trzech chłopców jak malowanie. W dym by do twojej ręki lecieli.

— Pewnie jakie gryzipióry... Moja Maryla nie dla takich!

— Marynujesz ją dla jakiegoś szlagona z pod ciemnej gwiazdy, który się nie pozna ani na głowie ani na sercu dziewczyny...

— O czem to mówić stryjku; przedewszystkiem pytanie czyby mi się twoi kandydaci podobali...

— Jakby ci się nie mieli podobać. Jeden z nich zajmie niedługo katedrę po mnie, głowa znakomita, przyszłość świetna. Drugi jest obecnie sekretarzem w ministerjum oświaty, trzeci adwokat. Chłopcy dobrze wychowani, pracowici, zdolni do wybitki i wypitki. Szczególnie ten mój następca złoty chłopiec... kiedyś ozdoba narodu.

— Pewnie hołysz i parweniusz — wtrącił ironicznie Bzowski.

— Ma stałego dochodu 2000 rubli; jak na początkującego to dosyć.

— Nie wystarczyłoby na suknie dla Maryli...

— Tak? A toś ją ładnie wychował! — zgorszył się profesor.

— Nie jest tak źle jak się wydaje. Ojcaszek nic mi wprawdzie nie żałuje, ale ja nie wydaję na fatałaszki więcej jak 300 rubli rocznie.

— Także się nowych rzeczy dowiaduję. Wszakże ci daję 1000 rubli na szpilki. Gdzież podziewasz 700?

— Składam ojcaszku — odpowiedziała Marja rumieniąc się. — Co zaoszczędzę odsełam do banku. Mam swojego kapitału przeszło 3000 rubli...

— Dziewczyno, czy na serjo?—zawołał profesor.

— Jak was kocham...

— Niechże cię ucałuję Maniusiu! Widzisz Onufry, czy ja nie miałem słuszności, że wasze dziewki przechodzą was sprytem i rozumem!... Tyś myślał, że ona traci na szmaty, a ona oszczędza i do banku odwozi pieniądze. Wiwat Maryjka! Dziecko, ja ci prorokuję, że będziesz milionerką!...

— Trochę trudno mój stryjku, bo ze szpilkowych oszczędności nie zbiorę tyle.

— Furda moje serce. Masz zmysł oszczędności a to grunt. Tak czy owak będziesz milionerką. Ja tak chcę i basta!...

— Bodajś w dobrą wymówił godzinę — zaśmiał się Bzowski. (C. d. n.)

MARZNĄCE FALE

POWIEŚĆ

przez Walerego Przyborowskiego.

XVIII.

(C. d.) Na obiad na tarasie zastawiony, zeszli się wszyscy. Julek przyszedł z książką pod pachą i rzucił ją z pewnem zniechęceniem rozpaczliwem na fotel. Pani Łucja siedząca obok, podniosła tę książkę i głośno jej tytuł przeczytała:

— „Parerga und Paralipomena — von Artur Schopenhauer“. — Cóż to za zabawny tytuł! — wołała. — Co to znaczy kuzynku?

Mówiła mu teraz kuzynku i była czegoś weselszą. Wszyscy byli jacyś weselsi.

Miller z niezwykłą u niego od miesiąca przeszło swobodą, tłómaczył co znaczy ten tytuł i dziwił się jak można czytać Schopenhauera. Zygmunt, który przed samym obiadem powrócił z Buska, rozwidnił wiecznie mroczną melancholią pokrytą twarz i siedział przy żonie, całując jej białe śliczne ręce. Nawet Joanna zmęczona wycieczką na jarmark, była jakaś zadowolona i rozlewając zupę z wielkiej wazy, opowiadała z pewnym humorem swe wrażenia.

Julek tylko chodził po tarasie, czekając aż wszyscy usiądą i burząc włosy na głowie, ziewał ukradkiem potężnie i nic nie mówił. Od czasu do czasu spoglądał z ukosa na Minę, która przyszła najpóźniej w innej niż rano sukni, zapięta pod szyję, starannie na nowo uczesana i z twarzą posypaną pudrem. Z tem wszystkiem była niezwykle czerwona i oczy miała także czerwone, jakby od płaczu. Unikała starannie wzroku Julka i bardzo niewiele mówiła.

Zygmut Zaremba opowiadał także przygody swojej podróży do Buska. Z wykwintnym, pełnym delikatnego sarkazmu humorem, rysował obrazki postaci, które zjechały się do tych wód. W ogóle był niezwykle wesoły. Śmiał się głośno i rozruszał całe towarzystwo. Dopomagał mu w tem Miller. Parę butelek dobrego burgunda ożywiło ich obu jeszcze bardziej. Wkrótce i kobiety się śmiały, nawet melancholijna dzisiaj Mina, toczona przez robaka tajemnej zgryzoty.

Wprost niej siedział Julek, wiekuisty wyrzut jej złamania wiary. Myśląc podczas obiadu o tem, co się działo przed paru godzinami tam w tym maleńkim pokoiku, oblewała ją purpura krwi i wstydu. Zdawało jej się, że wszyscy na nią tylko patrzą i czytają na jej czole napis: występna. Ten obiad był dla niej męczarnią. Ale potem, gdy Julek zaczepiony przez Millera, począł rozwijać swe teorje pesymistyczne, gdy z wyrazem niewypowiedzianego zniechęcenia mówił, że nie warto nic robić na świecie, bo życie jest niesmacznem złudzeniem, że wszystkie ludzkie ideały są mrzonką i głupstwem, że nicość jedna ma wartość w wszechświecie, poczęła go słuchać i uspakajać się. Pesymistyczna moralność młodzieńca, a właściwie brak wszelkiej moralności, działał na nią jak balsam na ranę bolącą.

— Nie ma występku na świecie — mówił Julek — bo gdyby on był, to musiałby być przez kogoś stworzonym. Jeżeli jednak Bóg ma być najwyższem dobrem, to jakimże sposobem mógł stworzyć złe? Zresztą cóż to jest złe samo przez się? Ludzki wymysł i nic więcej. Wszystko co jest, jest moralnem lub nie. Co prawda on do tego drugiego zdania się przechyla. Świat jest złym i niemoralnym i nie ma nic na nim dobrego.

Mówił to wszystko głosem bezdźwięcznym, suchym, znudzonym. Pani Łucja śmiała się z niego i kłuła go sarkastycznymi dowcipami, szydziła zeń niemiłosiernie. Ale on się nie bronił. Przyjmował wszystko ze spokojem mędrca, ruszając tylko kiedy niekiedy ramionami.

— Mina słuchała go pilnie, pochłaniała jego zdania i usprawiedliwiała niemi swój błąd. Och! jakże ona kochała tego melancholijnego, smutnego chłopca, o krwi namiętnej. W jego objęciach uczuła dopiero wszystkie rozkosze życia, zrozumiała całą wartość istnienia. Nie wierzyła, nie chciała wierzyć temu, co on mówił, o życiu i o jego znikomości. Wszystkimi nerwami swymi, wszystkim żarem swej krwi młodej i gorącej oburzała się na zdanie: że życie nic nie jest warte. Ona całkiem co innego myśli o tem od dziś rana, od chwili, gdy tam w purpurowym cieniu małego pokoiku oddała się namiętnym uniesieniom miłości. Ona ubóstwiała Julka.

Żar południa, żar niezwykle gorącego dnia zdaje się, że przelewał się do jej krwi. Była cała w ogniach. Wypiła parę kieliszków burgunda i gorące to wino zdawało się wlewać nowy ogień do palącej się jej krwi.

Wszyscy narzekali na nieznośny upał. Powietrze było parne i duszne i wielka cisza leżała w naturze. Wiatru zupełnie nie było i wszystkie drzewa stały smutne pod palącymi promieniami słońca, z obwisłymi liśćmi. Drobne rośliny na gazonach przed tarasem więdły.

— Będzie burza wieczorem — mówił Miller patrząc na zachód, gdzie niebo przybierało mętną, szarawą barwę.

Po obiedzie nikomu nie chciało się ruszyć. Miller poszedł spać. Czuł się bardzo znużonym i przytem stary artretyzm począł mu dokuczać w nodze, co niezawodnym było znakiem, że nastąpi zmiana powietrza. Powlókł się utykając na nogę i stękając trochę do swego pokoju. Joanna się zgniewała na służącego miętoszącego przy zbieraniu ze stołu serwetki. Sama się do tego zabrała, starannie każdą serwetkę strzepała, złożyła i poszła chmurna znowu zajrzeć do kuchni. Panna Karolina siadła w kąciku wyprostowana i gwałtem opędzała się przed snem, króry padał jej na oczy. Zygmunt zapalił cygaro i wziął się do przeglądania Figara, rzuconego na krzesło przez żonę. Pani Łucja wielkim wachlarzem chłodziła się, utopiona w głębi fotelu. Mina wzięła parasolkę i zeszła nieco do ogrodu. Julek pobiegł za nią i chciał koniecznie by poszli dalej, ale ona stanowczo się temu oparła. Nie chciała się oddalać i wciąż chodziła w pobliżu tarasu.

— Płakałaś Mino? — pytał Julek — masz oczy czerwone.

— Czyż nie miałam czego płakać?

— Głupstwo. Życie jest krótkie a ja cię kocham i ty mię kochasz. Czyż podobna, byś jak niewolnica męczyła się przy tym starcu, któremu zmiana powietrza grozi artretyzmem? Dajże pokój! Młodość potrzebuje młodości. Czemu nie chcesz pójść dalej? Kiedy znów zobaczymy się sami?

— Nigdy. Nie chcę już więcej tego. Mówmy o czem innem, bo ucieknę... Mnie wstyd pali gorzej niż to słońce. Ja oczów na nikogo podnieść nie śmiem. Mówmy o czem innem...

— Dobrze, mówmy o czem innem, kiedy chcesz tego koniecznie. Czy wiesz dlaczego Zygmunt wrócił

z Buska taki wesoły, taki szczęśliwy, jakby się drugi raz narodził?

— Nie wiem.

— Panna Iza przyjechała i widział się z nią. To go tak uszczęśliwiło, że począł się umizgać do żony. Zabawny jest!

Mina nie pytała o więcej. Plotki codzienne nic ją w tej chwili nie obchodziły. Jej w umyśle ciągle rysował się maleńki pokoik w purpurowym półcieniu. Zawróciła na taras, co wywołało wyraźne niezadowolenie ze strony Julka, posiedziała tam trochę i poszła do siebie. Zygmunt Zaremba zdrzemnął się nad Figarem.

Przed wieczorem w obec coraz bardziej parnego powietrza, zebrali się wszyscy nad stawem, oprócz Joanny i panny Karoliny. Burza zbliżała się. W oddali rozlegało się już ponure ryczenie huraganu. Czarne chmury na zachodzie rosły w oczach. Słońce przybrało ciemną, czerwoną barwę.

Wszyscy usiedli na ławce nad stawem i patrzyli na zamek oświecony krwawo od słońca. Julek zaproponował by pójść do tych ruin i nakoniec obejrzeć je raz, gdyż z obecnych oprócz Zygmunta i Millera nikt tam jeszcze nie był.

— Panie w ogóle okazują mało zajęcia dla pomników przeszłości — rzekł Zygmunt.

— Wolimy teraźniejszość — odpowiedziała na to Mina.

— Nie lubię ruin i brudu! — dodała pani Łucja — ale w istocie trzeba raz obejrzeć te gruzy. Pojedziemy łodzią przez staw.

Podobała się wszystkim ta propozycja, choć Miller krzywił się i obawiał wznowienia ataków artretyzmu wskutek wilgoci. Nie nalegano na niego, więc pozostał.

We czworo puszczono się łodzią. Zarembowie obaj wiosłowali. Łódź ślizgała się po gładkich, ciemnych, teraz od chmur prawie czarnych wodach, w których odbijały się dwie śliczne główki kobiece. Julek pozbył się jakoś swego pesymizmu, był znów wesoły, rzeźki, śmiejący się. Namiętnym wzrokiem obrzucał Minę, rumieniącą się pod tem wejrzeniem.

Kiedy wychodzili na brzeg i kiedy Zygmunt podawał swej żonie rękę, w oknie baszty ukazała się główka kobieca w wielkim rembrandowskim kapeluszu ciemno-czerwonego koloru z takiemże, nieco jaśniejszem i ogromnem piórem.

— Ktoś jest w zamku — szepnęła pierwsza pani Łucja.

Wszyscy spojrzeli do góry i obaj Zarembowie ukłonili się. Zygmunt zarumienił się mocno, a Julek szepnął do ucha Miny:

— To Iza...

Kobieta w oknie odkłoniła się grzecznie i znikła. Słychać było tylko jej srebrny śmiech rozlegający się wśród murów zamczyska i przy naprężeniu i zgęszczeniu powietrza powtarzający się z niezwykłą wyrazistością.

— Kto to jest? — pytała pani Łucja.

— To aktorka z Warszawy — kuzynko — odrzekł Julek.

— Jak się nazywa?

— Iza...

— Ach ta! wiem... naiwna. Cóż ona tu robi?

— Czyż my wiemy! — odrzekł Zygmunt.

Ruszono do zamku pod górę — małżonkowie wprzódy, a za nimi Julek z Miną. Podał jej rękę. Uwiesiła mu się u ramienia i czuł gorący jej oddech na swej twarzy, tak się pochyliła.

— To sprytna dziewczyna ta Iza — mówił Julek — pod pozorem wycieczki do ruin zamku chce zobaczyć Zalesie...

Mina nie słuchała go. Tylko pochyliwszy się jeszcze więcej do ucha Julka, pytała go szeptem namiętnym:

— Julku, czy mię kochasz?

Spojrzał na nią wielkimi oczami, jak człowiek, któremu przerwano rozmyślania.

— Czy wątpisz o tem Mino? czy możesz wątpić?

— Oh, bo gdybyś mię porzucił, jabym się utopiła w tym stawie!...

— Po co ta tragedja Mino? Kochajmy się i koniec, nie myśląc o przyszłości... Kiedy się znów zobaczymy?...

— Nie wiem... zobaczę... zawiadomię cię dziś jeszcze...

W tej chwili zerwał się nagle silny wiatr i tańczyć począł po ziemi porywając snopy kurzu, gałęzi, liści i unosząc to wszystko w wirze swego szału. Burza przybliżała się szybkimi krokami.

Niebo pokryło się nagle czarnemi chmurami, słońce przygasło i ponury świat drżeć począł przed idącym nań huraganem.

Właśnie wchodzili wewnątrz zamku, gdzie zastali dwie kobiety i jednego mężczyznę. Była to Iza i jej matka staruszka oraz jeden aktor. Wszyscy byli przerażeni zbliżającą się burzą. Iza z właściwą sobie gorączkową ruchliwością zbierała swe manatki i wołała dramatycznym głosem:

— Ach mój kapelusz, mój kapelusz!

I śmiejąc się, zwracała swą śliczną, jasną twarzyczkę ku wiatrowi, wołając z patosem tragicznego króla Leara:

— Dmij wietrze, aż ci miechy pękną! rycz burzo! Dmijcie, wściekajcie się! Plujcie powodzią wy katarakty i wy huragany!

Zygmunt Zaremba przywitał się z nowo przybyłymi i przedstawił je żonie i pani tego zamku. Iza z ciekawością spojrzała na panią Łucję, na jej wykwintną majestatyczną postawę i pewne lekkie

zdziwienie rysowało się na jej twarzy, jak gdyby mówiła:

— I on taką śliczną kobietę zdradza dla mnie. Ach, jakiż on głupi!...

Tymczasem Julek mówił do Miny:

— Burza za chwilę się zerwie, uciekajmy.

Ale Mina coś głęboko myślała i ciekawie przypatrywała się Izie i Zygmuntowi, poczem rzekła:

— To niepodobna, by państwo w taką burzę jechali. Proszę schronić się do nas. Mój mąż, który jest wielbicielem talentu pani, będzie mi bardzo wdzięczny za to, żem panią poprosiła do nas.

Iza niby się wzdragała, ale błagalne wejrzenie Zygmunta, a nadewszystko grube krople deszczu, zmusiły ją do zgodzenia się. Wicher wył jak potępieniec, zrywając chusteczki z głów kobiet, szarpiąc ich sukniami. Uciekano co sił starczyło, ale że musiano okrążać staw, bo kobiety nie chciały za nic łodzią jechać, więc dość czasu na to stracono. Spieszyli się wszyscy. Mina biegnąc, potknęła się i upadła. Nim się podniosła, inni już zniknęli zakryci nagłemi ciemnościami, kurzem i deszczem. Julek podniósł ją, wziął na ręce i całując namiętnie mówił:

— Mino, dziś musimy się zobaczyć. Ja cię kocham jak szaleniec!

— Puść mię! uciekajmy! spostrzegą naszą nieobecność. I ja cię kocham — dodała całując chłopca z uniesieniem — ale trzeba zachować ostrożność. Chodźmy.

Miller bardzo się ucieszył z przybycia Izy i jej towarzyszy. Podziękował żonie, że ich zaprosiła. W ogóle śmiano się wiele z przygód tej niedalekiej wycieczki i wieczór zapowiadał się bardzo wesoło.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Kwiat szczęścia.

(C. d.) Henryk wraz z Gilbertem pospieszyli teraz prosto do gospody, gdzie młody doktor zażądał pokoju na stałe mieszkanie. Gospodarz naturalnie nie mógł wyjść z podziwienia, że młody asystent i nierozłączny towarzysz doktora Eberhardta przenosi się z wygodnej willi do jego gwarnego domu. Henryk potrafił to jednak na prędce upozorować, czemu naturalnie tylko w połowie wierzono. Wysłany posłaniec przyniósł wkrótce niezbędne rzeczy Gilberta i Henryk mógł tymczasem zbiega na jakiś czas własnym rozmyślaniom pozostawić.

Postanowił teraz wrócić do domu i w tym celu wybrał krótszą drogę przez ogród, który prawie jedynie przez przyjezdnych był odwidzany, ponieważ wieśniacy przekładali pobyt w izbie gospodniej. Zdziwił się też nie mało, gdy pod jabłonią ujrzał jakąś samotną postać, ubraną w strój góralski. Przed samotnikiem tym stała nienaruszona szklanka piwa, ponurym zaś wzrokiem śledził on drogę, która nieopodal przechodziła. Kroki Henryka odwróciły jego uwagę, zwrócił głowę w tę stronę, a po chwili skoczywszy stanął tuż przed nim.

Henryk osłupiał. Postać tę widział raz tylko w życiu i to w zmroku wieczornym, poznał ją jednak w tej chwili i stanął w obronnej pozycji.

— Cóż to? Wincenty Ortler! Czy i tutaj chcesz mi drogę zastępywać i czy znów jesteś tak wojowniczo usposobiony jak ongi?

Ponure oblicze chłopca nie rozpogodziło się, potrząsł jednak głową.

— Nie, panie Henryku, teraz wiem już dokładnie. Wtenczas nie na właściwego trafiłem.... nie ze złej woli... omyliłem się.

Ze słów tych brzmiało usprawiedliwienie, prawie prośba i Henryk roześmiał się.

— No, jeżeli zaczynasz z tego tonu, możemy dalej rozmawiać. Byłeś wówczas zanadto wyzywający i grubiański, by mi wypadało było zadawać sobie tyle trudu i chcieć ci wytłumaczyć tę omyłkę. Kundzia zapewne to uczyniła.

— Nie, Ambroży.

— Tak? Ambroży? — zapytał zwolna Henryk.

— On sam przekonał mię najmocniej, gdym powtórnie zagościł do niego. Pan Henryk nie jest zdolny do czynu podłego — mówił mi — a za prawdę słów moich jestem w stanie włożyć rękę w ogień. Dowodził mi, że jestem kpem skończonym i należy mi się za kimś innym oglądnąć. I prawdę powiedział, gdyż dziś wiem, że nazywa się on Hellmar a nie Kroneg. O, Ambroży ma bardzo dobrą opinję o panu! Pan zapewne wkrótce odwidzisz starego?

— Może... gdy mi czas pozwoli... — odrzekł Henryk wymijająco, i zmieniając nagle temat rozmowy, zapytał: — Jakże z waszą miłością? Kundzi dotychczas nie widziałem jeszcze.

— Wierzę! — zaśmiał się Wincenty ponuro. — Czeka na swego kochanka i dlatego nie może okazywać się gościom. Jak pan wiesz zapewne, on jest już tutaj, ten fircyk, ten panicz miejski i stosunek między nimi jest już prawie jasny!

Czoło Henryka zfałdowało się po tych słowach i wargi mu zadrżały.

— Więc na nowo rozpoczął grę dawną? Sądziłem, że rzecz ta już zapomniana i pogrzebana.

— I ja tak sądziłem i nie mogłem zrozumieć, dlaczego Kundzia każdego tak z góry i lekceważąco traktuje, jak jaka księżniczka. Teraz dopiero wyszło na jaw, iż obiecał się z nią ożenić!...

— Córce szynkarza — kto? Gwido Hellmar?

— On we własnej osobie. Lecz o tem nikomu jeszcze wiedzieć nie wolno. Dał na to słowo i przysiągł dziewczynie, lecz wpierw musi załatwić się i uzyskać zezwolenie od swej znakomitej familji. Kun-

dzia też milczała — nawet ojciec do dziś dnia nic o tem nie wie — lecz gdym zażądał od niej decyzji, gdym żądał od niej stanowczego tak lub nie, rzecz wyszła na jaw. W najbliższym czasie ma on pomówić z ojcem, a po uzyskaniu jego zezwolenia wyjeżdżają razem do miasta, gdzie Kundzia zostanie wielką panią.

— I Kundzia wierzy temu?

— A czy pan nie wierzysz? — zapytał młody wieśniak ponuro. — Lecz przedtem jeszcze ja się z nim rozmówię! Właśnie czekam tu na niego i tym razem spotkam go z pewnością. Zobaczymy!

— Wincenty, żadnych szaleństw! Rzecz ta da się załatwić w inny sposób — rzekł Henryk stanowczo. — Przyrzecz mi, że tego... tego pana zostawisz w spokoju, a ja ci daję słowo, że dziś jeszcze Kundzia odtrąci go z pogardą!

Wincenty z niedowierzaniem spojrzał na mówiącego, gdyż wypełnienie przyrzeczenia wydało mu się wprost niemożliwem.

— I jakże chcesz się pan wziąć do tego? — zapytał.

— To już moja rzecz. Natychmiast idę do Kundzi i otworzę jej oczy. Lecz jeszcze raz powtarzam: żadnych szaleństw! Czy mogę się na to spuścić?

Wincenty skinął głową potwierdzająco. Młody ten człowiek miał coś tak nakazującego posłuszeństwo i stanowczego w swym głosie, iż młody wieśniak gotów był uwierzyć w czary, które serce jego najdroższej napowrót do niego zwrócić potrafią. Po chwilowem też wahaniu wrócił na dawne miejsce pod jabłonią, a gdy po kwadransie zjawił się rzeczywiście oczekiwany Hellmar, dumnie postępując w malowniczym stroju turystów, jedynie groźne zaciśnięcie pięści i głuche przekleństwo mogły zdradzić uczucia młodego wieśniaka.

Naprzeciw nadchodzącego poety wybiegł z ukłonami gospodarz i wprowadził go do domu, podczas gdy Wincenty postanowił spokojnie doczekać końca, czy też Henryk dotrzyma słowa.

Ten rzeczywiście obarczył się nie lada misją. Wszedłszy do gospody kazał zawołać Kundzię do odosobnionego pokoju, gdzie sam na sam mógł się z nią otwarcie rozmówić, na pierwsze jednak spojrzenie można było widzieć, że rozmowa była nader burzliwą. Lica dziewczęcia pałały, oczy rzucały iskry a głos brzmiał najwyższem uniesieniem.

— Nieprawda, nieprawda! Sto razy mi przyobiecał, sto razy mi przysięgał, a gdy tu przyjdzie, zapytam go się otwarcie!

— To ci mało pomoże — mówił Henryk z przyciskiem. — Doda jedynie nową przysięgę do starych, a kłamstwo pozostanie kłamstwem.

— Nieprawda! — zaprzeczała Kundzia. — Ja słowa dotrzymałam, choć z łatwością mi to nie przychodziło, gdy ojciec na mnie nalegał, bym zaślubiła Wincentego, zaręczając, iż to dla mnie jedyne i najwyższe szczęście. Gdy pan Hellmar jednak żądał odemnie milczenia, usłuchałam go bez szemrania.

— I dlaczego porzuciłaś Wincentego? — zapytał Henryk z wyrzutem. — Ten kochał cię i przyrzekał szczerze, a nawet sądzę, że kocha cię do dziś dnia jeszcze, mimo wybryków, które popełniłaś.

Usta dziewczyny zadrgały jakby tłumionym bolem i płaczem, w tej chwili jednak dawny upór wziął górę.

— Jabym mu się poddać nie umiała a on mnie się poddać nie chciał, przeczco niezbyt szczęśliwa byłaby z nas para. Poco mnie tak prześladował swą zazdrością, jakby już nikt inny spojrzeć na mnie nie mógł? Teraz oddałam mu piękne za nadobne!

— Więc chcąc się zemścić, rzuciłaś się drugiemu w ramiona? Wstydź się Kundziu!

Dziewczę obróciło się gwałtownie.

— Daj mi spokój, panie Kroneg, z Wincentym już dawno skończone. Zostanę panią Hellmar, wytworną damą, będę posiadać własny dom, służbę i ekwipaże. Wszystko to on mi przyobiecał, lecz musimy jeszcze czekać, gdyż dumni jego rodzice nie chcą zezwolić, by pojął za żonę wiejską dziewczynę.

— A gdy ci powiem, że Hellmar nawet żyjących rodziców nie posiada, że nie pochodzi ze znakomitej rodziny i majątku żadnego nie ma, choć ci to wszystko zaręczał? W ogóle jest on najzupełniejszym panem swej woli i mógł cię zeszłego jeszcze roku do ołtarza poprowadzić, gdyby był o tem myślał na serjo. Lecz w tym samym czasie starał się o inną, o bogatą, znakomitą damę...

— Nie, nieprawda! — przerwała mu Kundzia namiętnie. Krew uciekła z jej twarzy i bladość śmiertelna lice okryła. — Nie wierzę panu, nie wierzę całemu światu, wierzę jemu jedynie!

— Ha, jeśli tak, usłyszysz to z ust jego własnych! Chwytam się niechętnie tego środka, lecz tu muszę go użyć, by nieszczęściu zapobiedz. W inny sposób nie zdołam cię przekonać.

Spojrzał przez okno i zwrócił się do dziewczęcia.

— Właśnie nadchodzi „narzeczony.“ Sprowadzę go na temat zwierzeń, czego ty niewidomym będziesz świadkiem. Wejdź do sąsiedniego pokoju, tam będziesz mogła wszystko słyszeć, lecz nie zdradź się żadnym ruchem, dopóki cała prawda nie przedstawi ci się jasno.

Dziwnem było jaki urok wywierał na każdego ten lekkomyślny Henryk, jak każdego zmuszał do posłuszeństwa, gdy serjo się zachowywał. Jak opornego Wincentego, tak i Kundzię teraz zmusił do posłuszeństwa. Bez uporu usłuchała rozkazu i mechanicznie weszła do przyległego pokoju, od którego drzwi Henryk za nią zamknął. Po kilku minutach na schodach dały się słyszeć kroki Hellmara.

— Dzień dobry Henryku — rzekł wchodząc. — Gospodarz mi mówił, że jesteś tutaj z Kundzią. Gdzież ona poszła?

— Zawołano ją i prawdopodobnie znajduje się w kuchni.

— W takim razie byłbym lepiej uczynił pozostając na dole. Ale zkądże to sam na sam z dziewczyną? Czy nie chciałbyś mnie w rozmowę w tajemniczyć?

— Nie — lecz chcę ci zadać jedno pytanie. Czy to prawda, żeś przyobiecał Kundzi, iż się z nią ożenisz?

— Głupia dziawczyna wypaplała ci to? — odrzekł Hellmar. — Dała mi słowo, że będzie milczeć, wierzyłem, że dotrzyma... ponieważ...

— Masz znakomitych i dumnych rodziców, którzy nie chcą zezwolić na podobny związek — widzisz, znam powód.

— No tak, bo czemże innem można by głupiej wiejskiej dziewczynie usta zamknąć? — rzekł Hellmar gniewnie. — Z pewnością chwaliłaby się z tem przed wszystkimi, gdybym nie był jej wytłumaczył, że na dotrzymaniu tajemnicy całe małżeństwo spoczywa. Lecz wierz takiej nieokrzesanej dziewczynie! Przed tobą nie zamilczała, sądząc zapewne, iż ty jako mój przyjaciel musisz o wszystkiem wiedzieć. W tym wypadku jest to drobnostką, lecz mogło stać się dla mnie nader kompromitującem.

— Musiałeś jednak dziewczynie dawać nader stanowcze zapewnienia, gdyż powołuje się na to z taką pewnością siebie, że i ja nawet zacząłem to brać na serjo. Czy chcesz może jedną z sielanek, tak licznych w twych poezjach, w rzeczywistość zamienić i poślubić dziecię ludu?

Hellmar wybuchł śmiechem, który wprawdzie tak samo jak głos brzmiał miękko i muzykalnie, jednak posiadał jakiś odcień szyderstwa.

— Ależ Henryku, paradny jesteś! Czyś oszalał, czy też Kundzia zaraziła cię swem zaślepieniem! Ja, Gwido Hellmar, ożeniony z wiejską dziewczyną! Córka szynkarza wiejskiego, która chłopom piwo podaje, jako moja żona w stolicy i w salonach mych wielbicieli — to byłby rzeczywiście żart znakomity.

I rozpoczął się śmiać na nowo, Henryk jednak nie zawtórował tej wesołości, spojrzał tylko na drzwi, które wciąż jeszcze były zamknięte i zapytał:

— Więc jeżeli nigdyś o tem nie myślał, w jakim celu odgrywasz tę całą komedję?

— W jakim celu? Mój Boże, ponieważ na innej drodze nic wskórać nie mogłem. Kundzia śmieje się i żartuje z każdym, lecz gdy kto chce się do niej bardziej zbliżyć, niż ona sama na to pozwala, staje się wówczas dziką kotką! Rzecz ta już rzeczywiście zaczyna mnie nudzić — muszę ją zakończyć.

— Możesz pan sobie oszczędzić trudu! — dał się słyszeć głos Kundzi. Drzwi otworzyły się na oścież i dziewczę okazało się na progu. Zdawało się, iż wszystka krew uciekła z jej twarzy, ręce miała zaciśnięte, a oczy jej rzucały błyskawice, gdy zbliżyła się do Hellmara, który z przestrachu, aż pod ścianę się cofnął.

— Możesz pan sobie oszczędzić trudu — powtórzyła, ledwie mogąc mówić z gniewu i wstydu. — Głupia wiejska dziewczyna sama to skończy, a choć za złą ją do zaślubienia, ani w setnej części nie jest tak złą jak Gwido Hellmar — ten oszust!

— Ty tu Kundziu? — jąkał się Hellmar. — Kiedyś tu przyszła... cała nasza rozmowa była żartem jedynie...

— Tak, lecz dla mnie pozostanie ona serjo i dla ciebie taką pozostać musi. Zaraz poznasz dziką kotkę! — zawołała roznamiętniona dziewczyna, która widoczną miała chęć rzucić się na niewiernego kochanka. Ten nie widział innego ratunku jak skryć się za Henryka.

— Na miłość boską wstrzymaj ją, przeszkódź hałasowi i szkandalowi! — szeptał za Henrykiem i zręcznie wyzyskując chwilę w której ten postąpił krok naprzód, przesunął się wzdłuż ściany, dopadł drzwi i znikł za niemi w najwyższym pospiechu. Kundzia chciała się za nim rzucić, zamiast jak dama światowa wpaść w omdlenie lecz teraz Henryk wstrzymał ją za ramię i zmusił do pozostania.

— Bądź rozsądną dziewczyno! — rzekł do niej półgłosem lecz stanowczo. — Poco ten hałas i awantura? To jedynie tobie może najwięcej zaszkodzić. Dotychczas nikt nie wie jak daleko rzeczy zaszły między wami, prócz mnie i Wincentego i nie potrzebuje nikt o tem wiedzieć. My będziemy milczeć milczże i ty także.

Te słowa i zręczne wspomnienie jej dawnego narzeczonego przyprowadziły Kundzię do przytomności. Została na miejscu a po chwili grube łzy wytrysły z jej oczu i załamując dłonie wybuchła rzewnym płaczem.

Wincenty tymczasem nieopuszczał swego punktu obserwacyjnego, zachowywał się spokojnie, jednakże z tem cichem przedsiewzięciem, w razie przydługiego oczekiwania własnymi kułakami całą sprawę załatwić. Nie czekał jednak zbyt długo. Nieledwie w dziesięć minut zjawił się „panicz“ widocznie pomięszany i w najwyższym pospiechu oddalił się. Po chwili zjawił się Henryk i stanął przed Wincentym.

— On już odszedł — rzekł Wincenty w niemem oczekiwaniu.

— Tak i z pewnością nie wróci! Od Kundzi dostał taką odprawę, iż na pewne raz na zawsze odeszła mu ochota odwidzin tej gospody.

— A Kundzia?

— Siedzi teraz i płacze. Na razie trzeba ją zostawić w spokoju. Później na pewne będzie można z nią pomówić.

— Panie Henryku, chyba uwierzę, że pan umiesz czarować — zawołał Wincenty. — Panie Henryku, raz byłem wyzywający wobec ciebie, nawet gotów byłem cię zabić... to jest nie ciebie ale tego drugiego... teraz jednak pójdę za ciebie przez ogień.

Młody człowiek rozśmiał się i poklepał go po ramieniu.

— Przez ogień na razie iść nie potrzebujesz, gdybyś jednak chciał ze mną pójść przez śniegi, to trzymam cię za słowo. Chcę właśnie niedługo pójść na „Szczyt lodowy“ i właśnie dziś rano mówiłem o tem z Sebastjanem, który ma mię tam zaprowadzić. On twierdzi jednak, że należy wziąć dwóch przewodników, ponieważ na szczyt jedynie zapomocą lin dostać się można. Czy chcesz być tym drugim?

— Ależ z ochotą! A Ambrożego nie bierzesz pan z sobą?

— Nie — odrzekł Henryk krótko — pójdziemy sami. Od Sebastjana dowiesz się o dniu i godzinie. Do widzenia Wincenty!

Odszedł i dawny wesoły uśmiech zaigrał na jego ustach.

— No, zabawiłem się w ducha opiekuńczego dla dwóch par zakochanych! Głupia to jednak zabawka! Teraz muszę jednak także i o sobie pomyśleć... (C. d. n.)

Potęga prawdy.

(C. d.) Na jego rozkaz, wśród pomroku zajaśniało elektryczne słońce sztuczne, zaćmiewając wieniec lamp różnobarwnych i pochodni sypiących iskrami. Po stawie uwijały się grupy ubrane w najrozmaitsze skórki zwierzęce i piórka ptakom zrabowane. Wiatr igrał figlarnie długimi welonami i lokami dam, bokobrodami i czuprynami panów.

Parą najbardziej ruchliwą byli niezaprzeczenie Roman i Helena. Przy dźwiękach zawsze świeżej i pięknej muzyki z „Proroka“ z baletu łyżwiarskiego, wykonywali oni pantominę w stylu i guście nowoczesnym. On co tchu zmykał, ona co siły za nim goniła. Z szybkością błyskawiczną małego żaglowca, Roman umiał omijać wszelkie zapory, prześliznąć się przez grupy najbardziej zbite. Miał on w tem cel podwójny: Wymknąć się szmermelowi, któremu było Helena na imię i zarzucić tam kotwicę, gdzie z Astą się miał połączyć. Helena atoli w gonitwie była niezmordowaną, Asta zaś oszańcowała się murem nieprzebitym saneczek i... wielbicieli.

— Baczność! Na bok! — zagrzmiał głos stentorowy i przy dźwiękach pięknego, posuwistego poloneza, wjechało na sam środek stawu drzewo olbrzymie, gorejące setkami dużych świec woskowych, obwieszone od góry do dołu cackami najkosztowniejszemi. Wszyscy stanęli podziwiając w milczeniu hojność i gust Detlewa, tylko Roman niby Ahaswer pędził dalej, nie mając nawet czasu wyrazić przyjacielowi, jak jest pomysłem jego zachwycony.

Panowie angażowali damy do poloneza. Każda para miała wśród tańcu dary odbierać z rąk gospodarstwa.

Jeszcze raz susem karkołomnym Roman potrafił ujść przed Heleną i wpadł pomiędzy sanki, roztrącając wszystko po drodze, póki nie dotarł do Asty.

Helena nie dała jednak za wygrane i nie chciała walki zaprzestać. Wołając na prawo i lewo: — *Place mesieurs! Pardon mes dames!* — przecięła drogę Romanowi, i właśnie, kiedy on się kłaniał Ascie, aby poprosić do poloneza, rzuciła się jej na szyję, pytając pieszczotliwie:

— Wszak pani mi za grzech nie poczyta i nie zgorszy się tem, jeżeli i ja wezmę udział w polonezie?

Z minką naiwną, a uśmiechem zaczepnym baletniczki spojrzała w oczy Romanowi, aby go zmusić do podania jej ramienia.

On jednak zdecydowany wytrwać w oporze do końca, podrażniony zresztą Heleny bezczelnem prześladowaniem, ją pominąwszy, jakby istnieć dla niego przestała, wzrok zwrócił w inną stronę.

Asta zaś odpowiedziała uprzejmie i tonem najłagodniejszym:

— Skoro ma to pani sprawić przyjemność... ja, z serca pozwalam, nawet proszę usilnie, tańcuj tego poloneza!

Helena znowu oczy podniosła na Romana:

— Ale pan Gehren, tak srogo marszczy czoło — rzekła tonem żałośliwym dzieciaka rozgrymaszonego i nadąsanego — jakby mi chciał z tego powodu wsypać burę porządną...

— Mylisz się pani — szorstko odrzucił. — O naszych uczuciach i o tem co wypada lub nie wypada, my sami tylko sądzić możemy.

— Masz pan słuszność zupełną! — podniosła głowę zuchwale, ku niemu dążąc ruchem śmiałym.

Nie dopięła celu jednakże. Oderwał się obcas od jednego bucika i razem z łyżwą, daleko w bok odskoczył. Straciła równowagę i rzeczywiście... „na lodzie osiadła“... Teraz na prawdę była bliską płaczu rzewnego i już jej ładna buzia skrzywiła się boleśnie, gdy Roman mimo jej wzroku o pomoc błagającego, ani myślał się ruszyć i patrzał na nią z góry z uśmiechem szyderskim, niby Jowisz gromowładny z Olimpu.

— *Tres chagrinée!...* — bąknęła pani Bertrand w futra po sam nos okutana.

— Bogowie! Co widzę?! — nadbiegł Detlew galopem — nasza najbieglejsza łyżwiarka w postawie siedzącej!... Li szewca wina! to niech panią pocieszy! — pomógł jej się podnieść, z całą rycerską galanterją; odprowadził tymczasem kulejącą na estradę, wyprawiwszy co tchu *grooma* swojego po sanki

z końmi do stajni. Zanim tenże powrócił, znosił jej z drzewa cacka najpiękniejsze:

— Najnowszy produkt z naszych kolonij afrykańskich — położył przed nią wachlarz przepyszny z kości słoniowej, złotem i drogiemi kamieniami nabijany, olbrzymie pióro strusie, misternie rzeźbioną szkatułkę z drzewa różanego i różne inne kosztowne drobiazgi.

Nareszcie wsadziwszy ją do sanek, sam ujął za cugle, żeby ją bezpiecznie odwieźć od domu.

Tłum rozbiegł się po stawie na nowo, czekając na powrót gospodarza.

— Oho! przepadło z Gehrenem! — zachichotały złośliwie panienki. — A zawsze go *solo basso* zapraszano na herbatki, kolacyjki!...

— Tak się zblamować w obec tylu świadków! — potrząsła głową przyszła *gowerness*. — Oto zysk czysty, gdy się poluje na epuzerów!

Panna *Bas-Bleu* deklamowała z komicznym patosem:

— Ten obcas tak nie w porę odlatujący, posłuży mi doskonale do jakiejś humoreski jako *Deus ex machina*, węzeł intrygi rozwiązujący. O szewcze niegodziwy, czemuś go tak słabo przytwierdził.

— Solo damskie w zupełnie nowym rodzaju! — żartował jakiś szpakowaty pułkownik, ofiarując ramię do poloneza pani majorowej. — Althausy, jak wieść niesie, w błocie po same uszy! dzieci zaś wcale do biedy nieprzyzwyczajone! Jak syn, tak i panna do niczego! Chyba miljoner mógłby wziąć sobie do domu, taki mebelek kosztowny a niepożyteczny, jak panna Althaus.

Roman z Astą zostali sami pod drzewem.

Asta była wielce zafrasowana tem całem zajściem niemiłem. Sumienie jej wyrzucało iż jest współwinną w upokorzeniu, które u niej samej biedną Helenę spotkało.

Roman natomiast, wcale tego wypadku nie brał do serca; jego męski egoizm umiał wznieść się po nad podobne dziecinne skrupuły! Nadto był zresztą własną sprawą zajęty. Umyślił bowiem, dziś przemódz koniecznie dziwną w obec Asty nieśmiałość i kwestję, tak go niepokojącą, na czysto wyprowadzić.

Od świecy zatliła jedna z gałęzi. Pryskając i trzeszcząc, szpileczki zajaśniały na chwilę niby ze złota ulane, wreszcie na lodzie zagasły, wydając z siebie dym wonny. Woń zwykła upajać szczególnie, jeżeli budzi wspomnienia z szczęśliwej przeszłości.

I w duszy Romana odżyły na chwilę obrazy z lat dziecięcych. Patrzał w sosnę płonącą wzrokiem tęsknym, szepcąc z cicha, jakby sam do siebie:

— Od wielu, wielu lat, nie stałem pod choinką, od świec jaśniejącą! Raz ostatni... jak dziś pamiętam... wziął mnie z sobą leśniczy, abym mu pomógł wybrać z lasu, który jeszcze do nas należał, sosnę najpiękniejszą. Paradowała nazajutrz w całej okazałości, w olbrzymiej sali rycerskiej, gdzie rok rocznie od czasów niepamiętnych, rodzina Gehrenów, z całą zamkową drużyną, spędzała wieczór wigilijny.

Asta chciała już odejść, łącząc się z resztą towarzystwa. Wstrzymała się jednak, słuchając z prawdziwem współczuciem, zwierzeń smętnych Gehrena, z dni dla niego bezpowrotnych. Nie bez pewnego jednak zamiaru odrzuciła z naciskiem:

— Musi pana dziwić tem bardziej choinka płonąca na naszem terytorjum. Gdy nasz ród: „Płakał nad rzekami Babilonu...“ osłaniały go palmy i sykomory.

Romanowi nie był wcale do smaku ten nagły zwrot w wieki zamierzchłe. Wydał mu się nie tylko zbytecznym, ale nawet pospolitym i nie bardzo delikatnym. I tem nie dał się zbić z tropu, dążąc wytrwale do celu.

— Dlaczegoż miałaby mnie dziwić sosna w państwa ogrodzie? — uśmiechnął się znacząco i z przymileniem. — W epoce przedpotopowej rosły obok siebie w tym samym lesie świerki i palmy w zgodzie braterskiej, czego dowodzą odciski z listków rozmaitych na kamieniach dyluwialnych. Są to niby wizytowe bilety, które sobie drzewa nawzajem składały. Możemy również zaufać słowom wieszcza jasnowidzącym, które nam opowiadają o tęsknocie świerka za dawną przepiękną towarzyszką palmą.

— Są to legendy... bajeczki dziecinne — odpowiedziała tonem lodowatym. — W raju przypuszczam, iż było możebnem podobne zbliżenie, za dni naszych atoli świerk wznosi dumnie czoło w strefie północnej, palma zaś chłodzi cieniem strudzonych pielgrzymów wśród puszcz piaszczystych.

— Toby im nie przeszkadzało wcale uczuwać nawzajem sympatję do siebie — Roman znów słodko się uśmiechnął. — Jakże często łączą się ludzie na całe życie, choć z pod stref oddalonych i narodowości zupełnie odmiennej.

— Mówiliśmy przecież o drzewach, nie o ludziach — wtrąciła wyniośle, chcąc naprzód postąpić.

— Nie, pani! tu idzie o ludzi... przestańmy raz bawić się w ślepą babkę! — zastąpił jej drogę z postanowieniem niezłomnem. — Nie uda się pani tak jak dotąd zamknąć mi usta. Muszę wypowiedzieć, co mi serce rozpiera.

— Sądzę, iż niktby na tem nic nie stracił, gdyby słów tych nigdy usta pańskie nie wymówiły — szepnęła smutno, w dal ciemną zapatrzona.

Ściągnął brwi gniewnie i żyły na czole krwią mu nabiegły, pohamował się jednak i rzekł spokojnie, uroczyście prawie:

— Uczuć moich nie mam powodu ukrywać, ani wstydzić się ich nie potrzebuję. Choćbyś pani nawet trwała w uporze i w miłość uwierzyć nie chciała i taka przecież dama dumna i wielkoświatowa może śmiało przyjąć uwielbienie, nie odmawiając szacunku

człowiekowi, który takowe ośmiela się jawnie u jej szóp złożyć.

— Szacunku pan żądasz?! — powtórzyła tak szorstko i ostro, jakby zerwała ostatnie więzy i podeptała resztę względów, które aż do tej chwili milczeć jej kazały. — Szacunku dla licznej zgrai wielbicieli nie możesz pan wymagać od miljonerki! Żaden z was na niego nie zasłużył, żaden, żaden!

I nie bacząc wcale, że Roman odskoczył, jakby go żmija ukąsiła, zpiorunowawszy ją wzrokiem płonącym wściekłością, mówiła dalej z szybkością i gwałtownością górskiego potoku, gdy nagle wzbierze i nie ma siły, którąby zdolną była go powstrzymać.

— Gdzie się pokażę, poprzedza mnie wszędzie nieszczęsna fama moich bogactw, równająca się klątwie najstraszliwszej. Narzeczony opuszcza narzeczoną, kochanek zrywa z ukochaną. Gonią za mną ni to sfora piekielna... za mną? O nie! za moimi krociami, których niestety nie można zdobyć, tylko razem z moją osobą. Nikt nie wierzy, nikt nie przypuszcza, że i miljonerka ma sumienie, które drży i lęka się, na łzach cudzych, na sercach złamanych i zdeptanych budować gmach chwiejny i niepewny szczęścia własnego. Nikomu przez myśl nie przejdzie, ile cierpieć musi jej duma osobista, choćby jej próżność... jakich mąk doświadcza, czując, iż dla ogółu jest liczbą i niczem więcej. Wobec niej szczęśliwszą jest niemal najnikczemniejsza niewolnica, którą pan pożąda dla jej własnych przymiotów, skoro za nią płaci. Nikt nie spyta, czy i w łonie miljonerki serce przypadkiem nie zabiło, czy o czemś innem nie marzy, za czemś nie tęskni i do czegoś sobie praw słusznych nie rości?... Mąż przyszły ofiaruje imię starożytne, zamiast odrobiny uczucia.... obiecuje uwielbiać... kochaćby nie potrafił... za chleb rzuca kamieniem...

Tchu jej wreszcie zabrakło, głos złamał się w głuchem łkaniu, mimo iż oczy były suchuteńkie, gorzały tylko blaskiem dziwnie gorączkowym, wzniesione w górę, jakby skarżyły się niebiosom na los taki ciężki a niezasłużony.

Roman mimo wieku młodego przeszedł twardą szkołę w życiu, miał czas się zahartować i stawiać czoło z krwią najzimniejszą w obec położenia i najbardziej drażliwego. Teraz jednak uczuł się nietylko bezsilnym, ale tracił zmysły, tracił przytomność, nie umiał znaleźć słowa jednego na swoją obronę, zasypany wyrzutami srogiemi, ale zasłużonemi.

Dyplomata, sofista sławny, mowca zawołany został pobity na całej linji. Zpiorunowany i oniemiały, milcząc z drogi się jej usunął, milcząco skłonił się przed nią. Tak samo Asta w głuchem milczeniu nieznacznie skinąwszy mu głową, szybkim ruchem naprzód się wysunęła, tonąc w tłumie łyżwiarzy.

Roman popędził ku brzegowi.

W tej chwili nadjechał Detlew.

— No! — zawołał wesoło, wyskakując z sanek — teraz drzewo zaczniemy plądrować.

— Ja bo muszę cię pożegnać, baronie — wycedził Gehren przez zęby zaciśnięte, czem prędzej łyżwy odrzuciwszy.

— Przez miłosierdzie boże! co się tu stało? — wpatrzył się Detlew przerażony w trupio blade oblicze przyjaciela.

— Oh! nic się nie stało! — wybuchnął zapytany gorżkim śmiechem. — Tylko ja kosza dostałem... Żegnam!

Zniknął pomiędzy drzewami, których wierzchołki płonęły łuną purpurową.

Detlew skamieniał. Wzrokiem błędnym ścigał machinalnie postać wyniosłą. Tą samą drogą jechała przed chwilą rozszlochana i w żalu nieukojona Helena Althaus.

— „Oko za oko, ząb za ząb!“ — szepnął sam do siebie i dreszcz nim wstrząsnął od stóp aż do głowy.

Popędził co tchu do Asty, patrząc jej w oczy z żalem i trwogą.

Odwróciła się od niego.

— Kończ, błagam cię! — rzekła głosem drżącym i ledwie dosłyszanym, blada śmiertelnie, na równi z Romanem. — Nie na długo mi już sił starczy!

Maks nadjechał właśnie ku nim z przeciwnej strony stawu, dziwnie zamyślony i prawie nieprzytomny.

Rotmistrz wpadł ostro na niego:

— Czyś znowu gdzie usnął, panie Althaus — spytał ironicznie — żeś całą troskę z odwiezieniem do domu panny Heleny zrzucił na barki barona Löwensterna?!

Drgnął przerażony i stanął cały w płomieniach, słysząc tak surowe napomnienie z ust przełożonego. Asta ulitowała się nad nieborakiem.

— Wypadek nic nie znaczący — rzekła uspokajająco. — Opowiem panu bliższe szczegóły podczas poloneza.

Wsunęła mu rączkę pod ramię, zadowolona i trochę pocieszona, że może odznaczyć i ugrzecznić bodaj jednego członka rodziny, tak srodze dotkniętej i rozżalonej.

Z bohaterstwem i zaparciem własnego ja, które częściej niżby się kto spodziewał, potrzebne jest ludziom światowym, Detlew był do końca wierny roli najgościnniejszego i najuprzejmiejszego amfitryona.

Muzyka grała prześlicznego poloneza. Detlew stanął na czele z damą najdystyngowańszą, zakręcając koło misterne, coraz ciaśniejsze, aż nareszcie kazał służbie wszystko z drzewa zdejmować.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

„Drukarnia Polska“. Lwów, ulica Jagiellońska l. 16.